

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

Bitwa pod Grunwaldem.

(d. 15 lipca 1410 r.).

Potężny i dumny mistrz zakonu krzyżackiego Ulryk Jungingen, siedząc w czerwcu r. 1409 na zamku malborskim, zatrząsł się z gniewu, gdy mu doniesiono, że wielki książę Witold przygotowuje wojnę na Żmudzi, aby ją uwolnić od krwiożerczej gospodarki krzyżackiej. Śle tedy wielki mistrz coprędzej posły do Witoldowego brata, króla Władysława Jagiełły, z zapytaniem, żali on popiera Witolda i Żmudzinów.

Król wyjawiał, że gotów jest w sprawie żmudzkiej pośredniczyć, jakkolwiek nie może odmówić pomocy bratu. Jungingen, gdy to posłyszał, i gdy go ostrzegano przed wysłaniem wojsk na Litwę, bo znaczyło by to wojnę z Polską, odparł butnie: „Lepiej mi pustoszyć kraj osiadły i uprawny, aniżeli uganiać się po lasach i puszczach litewskich”.

To też już d. 6 sierpnia Zakon wojnę wypowiedział, a wnet wojska zakonne wpadły do ziemi Dobrzyńskiej, zniszczyły i złupiły wiele miast, zamków, a wymordowały tysiące mieszkańców. Jagiełło, choć nieprzygotowany



Rycerz krzyżacki.

do wojny, zwołał pospolite ruszenie i powołał Witolda z wojskiem do granic pruskich, aby się z nim połączył. Równocześnie na Żmudzi wybuchła walka.

Zakon na wsze strony począł zabiegać o sprzymierzeńców i pośredników. Za sowitą zapłatę pozyskał króla czeskiego Wacława, który wyjednał rozejm na rok, do przyszłego świętego Jana. Wacław rozsądzić miał sprawy sporne i we wrześniu powołał posłów polskich, litewskich, i mazowieckich do Pragi dla obwieszczenia im wyroku rozjemczego. Dzięki podarunkom krzyżackim — wyrok był dla Polski niekorzystny. Wczas poufnie wtajemniczeni w sens wyroku delegaci polscy postanowili, podczas odczytania go, salę opuścić.

Notaryusz królewski zaczyna więc wyrok czytać po niemiecku, gdy w tem posłowie polscy zmierzają ku drzwiom. Wacław zapytał ich o przyczynę, na co odpowiedzieli, że nie rozumieją po niemiecku. Chciał król kazać przeczytać wyrok po czesku, lecz posłowie odparli, że i po czesku nie rozumieją, — i odeszli. Doręczono im więc wyrok na piśmie, a treść jego była taka: „Sporne ziemie, t. j. Żmudź, Drezdenko, Santok i Sudawia są własnością zakonu, ziemie

Dobrzyńską oddają obie strony królowi Wacławowi, który po roku ma rozstrzygnąć komu ją przyznać; Polacy w przyszłości nie mogą wybierać sobie królów z książąt litewskich, lecz z rodzin, panujących na Zachodzie”.

Po takim wyroku Polska dała pokój wszelkim układom pokojowym. Jagiełło skupił siły wojenne i w sam dzień św. Jana r. 1410. przybył do Walborza gdzie wszystkie wojska zgromadziły się. Stamtąd ruszono ku granicom krzyżackim. Pochód trwał dni 12. Dnia 14 lipca wojsko polskie stanęło nad jeziorem Lubieńskim, dążąc pod Malborg.

Wielki mistrz przeciął wojskom królewskim drogę — pozycją obu armii stał się więc nazajutrz obszar od Grunwaldu do Tannenbergu.

Pod wodzą Witolda i Zyndrama z Maszkowic stanęło 90 chorągwi — razem około 23,000 koni oprócz tego było nieco piechoty. Krzyżacy mieli do 17,000 koni, doskonałą jak na owe czasy artylerję — i również trochę piechoty. Z ciurami i pacholkami, siły zbrojne obu stron, skupionych pod Grunwaldem, dochodziły do 100,000.

Krzyżacy już od godziny 10 rano stali w szyku bojowym i czekali niecierpliwie nieprzyjaciela. Witold i Zyndram około południa uporządkowali chorągwie. Król, wysłuchawszy nabożeństwa, przywdział zwykłą zbroję, odbył długą ceremonię pasowania rycerzy, potem wydał hasła i z orszakiem ukazał się na pagórku — naprzeciw nieprzyjaciela. Zatrąbiono w obozie nieprzyjacielskim i wnet przed Jagiełłą stanęli dwaj heroldowie; w imieniu wielkiego mistrza złożyli mu dwa obnażone miecze, mówiąc. „Wielki mistrz posyła ci je, abyś się mógł lepiej bronić i nie wahając się dłużej, natychmiast wystąpił do boju.” (Tę obelgę tłómacząc niektórzy historycy jako obyczaj zachodniego rycerstwa; obelga jednak za rycerski obyczaj uchodzić nie może). Gdyby zaś — mówili heroldowie — miejsce do rozwinięcia sił wydawało ci się za szczupłe, Krzyżacy cokolwiek się usuną”.

Jagiełło odpowiedział heroldom statecznie, z godnością królewską, i odprawivszy ich, kazał trzymać pod strażą.

Zaraz potem odezwało się hasło bojowe, zabrzmiiała pieśń „Boga Rodzico” i wszczęła się walka zażarta. Po godzinnych, nader walecznych zapasach chorągwi litewskich z Krzyżakami, po naszej stronie szeregi się przełamały, powstał nieład, Krzyżacy wzięli górę. Rycerstwo krakowskie spostrzegając, że z rąk chorążego Marcina z Wrocimowic pada sztandar królewski, a hufce krzyżackie z pieśnią zwycięską „Christ ist erstanden” tratuują wszystko, co zawadza im na drodze do sztandaru króla. Chwila była straszna, prawie rozpaczliwa, ale i przełomowa. W obronie sztandaru padającego zbudziło się bohaterstwo, chwilowo osłabione.

Wszczęła się walka szalona, zapal ożył. Wojsko polskie zmiażdżyło nadciągające silne rezerwy krzyżackie, a uratowanie króla przez młodzieńczego Zbigniewa Oleśnickiego od ciosu kopii Dipolda Kokeritza, który zuchwałstwo swe przypłacił życiem, stało się dla hufców królewskich jakoby znakiem widomym błogosławieństwa niebios. Nieustraszone w obec nowych, silnych zastępów nieprzyjacielskich chorągwie królewskie wycięły wszystko w pień, zostawiając tylko przy życiu tych, którzy się poddawali i wypraszali od śmierci.

Straszne to żniwo zmusiło resztę Krzyżaków do ucieczki, ale w pościgu jeszcze osiągnięto wielu. Plac boju opustoszał o zmroku, pościg trwał do późna, a dopiero rzęsy deszcz zakończyły rycerskie trudy tego wielkiego dnia.

Wielki mistrz padł na polu bitwy, pięćdziesiąt jeden chorągwi krzyżackich zdobyto. Rozgrom krzyżacki był straszny, potęgą zakonu i który niby w imię wiary chrześcijańskiej walczył z narodami już chrześcijańskimi, dbając tylko o świeckie zdobycze, została złamaną i pochód Niemców ku wschodowi wstrzymany na lat 400. Nad zwłokami wielkiego mistrza zapłakał król Jagiełło, kazał je przywdziać w purpurę i z należną czcią pogrzebać.

Znakomity nasz malarz historyczny Jan Matejko namalował wspaniały obraz, w którym przedstawił tę najważniejszą przełomową chwilę bitwy.

Obraz ten podajemy. Widzimy na nim pośrodku Witolda, pędzącego z dobytym mieczem, opodal wielkiego mistrza, już zewsząd otoczonego. Na prawo pod laskiem stoi król Władysław Jagiełło ze swym małym hufcem. Reprodukcyja nie może dać pojęcia o piękności tego ogromnego obrazu, który znajduje się obecnie w pałacu sztuk pięknych w Warszawie. Bitwa pod Grunwaldem była też nieraz opisywana przez historyków i poetów, ale najpiękniejszy obraz tej bitwy skreślił Sienkiewicz w zakończeniu swych „Krzyżaków”.

Na pierwszej stronie dajemy podobiznę rycerza krzyżackiego, który miał już prawo nosić biały płaszcz z czarnym krzyżem i pawie pióra na hełmie. Takich „białych płaszczów” było w dzień bitwy pod Grunwaldem 700, a wieczorem zostało tylko 15-u.



Pogadanki z dziedziny chemii.

V. Parę słów o skłonności chemicznej.

Pomiędzy każdymi dwoma pierwiastkami zachodzi chemiczne przyciąganie, ale siła owego przyciągania jest nadzwyczajnie rozmaita.

Wspominaliśmy już, że żelazo ma wielką skłonność do łączenia się z tlenem na rdzę. Istnieje zatem pomiędzy żelazem a tlenem pewien rodzaj skłonności wzajemnej. Znamy jednak substancje, które jeszcze skwapliwiej dążą do złączenia się ze sobą, aniżeli tlen i żelazo; skłonność ta pozwala im nawet odbierać rdzy zawarty w niej tlen i rugować żelazo.

Wspominaliśmy, że podobnie dzieje się w wielkim piecu, gdzie rozżarzony węgiel odbiera tlen rudzie, uwalniając ze związku żelazo metaliczne. Widzimy z tego, że chemiczna siła przyciągająca pomiędzy węglem a tlenem w pewnych warunkach jest większa, aniżeli skłonność żelaza do tlenu. Jeszcze większa skłonność istnieje pomiędzy tlenem i potasem; pierwiastki te dążą do siebie z taką siłą, że potasu nie można trzymać na powietrzu, gdyż łączy się z tlenem i rozpyływa jak wilgotny cukier.

Chcąc więc wyrobić sobie właściwe pojęcie o sile przyciągającej, jaka zachodzi pomiędzy rozmaitymi chemicznymi substancjami, musimy zapamiętać, że:

Siła chemiczna istnieje pomiędzy wszystkimi pierwiastkami; jeżeli okoliczności sprzyjają, to z takich dwóch pierwiastków, sympatyzujących ze sobą, powstaje zupełnie odmienna od nich substancja. Ale owa siła przyciągająca nie jest jednakowa dla wszystkich pierwiastków, lecz staje się to silniejsza, to słabsza, zależnie od tego, jakie ciała będziemy brali.

Z chemicznego związku tlenu i azotu powstaje kwas azotny; wodór zaś, łącząc się z tlenem, daje wodę.

Co to jest woda, wie każdy. Wszystka woda na świecie, znajdująca się w oceanach, rzekach, studniach, murach nie jest niczem innem, jak właśnie związkiem wodoru z tlenem. Kwas azotny także znamy. Jest to bardzo gryzący płyn o kwaśnym smaku, tak, iż parę jego kropel zakwasza szklankę wody. Jest on nadto tak gryzący, iż nagryza

wszelkie metale. Jeżeli zanurzymy trochę waty w stężonym kwasie azotnym, to zamienia się ona na bawełnę strzelniczą, która wybucha daleko silniej od prochu zwyczajnego. Widzimy przeto, że kwas azotny jest zgoła nie podobny do wody. A jednak oba te płyny zawierają jedną i tę samą część składową, mianowicie tlen, cała różnica polega na tem, że woda oprócz tlenu zawiera wodór, kwas zaś azotny azot. Kiedy się zastanawiamy, że woda jest tak łagodnie działającym płynem, a kwas azotny tak ostrym, to mimowoli zaczynamy przypuszczać, że tak różne własności należy przypisać odmiennym własnościom azotu i wodoru. Zaczynamy wierzyć, że to wodór robi wodę tak delikatną i nie szkodliwą, podczas gdy azot nadaje tak niebezpieczne własności kwasowi azotnemu. Jestto jednak wielka pomyłka. Kto się o tem chce przekonać, niech sobie wystawi, co by mogło powstać ze związku chemicznego pomiędzy wodorem i azotem? Zapewne coś w rodzaju wodnistego kwasu azotnego, albo jaki inny płyn nieszkodliwy, odpowiedzie. Ale kupcie sobie za kilka groszy amoniaku i wciągnijcie w nos jego zapach. Prawda, że nie zbyt przyjemny. A przecież amoniak jest właśnie związkiem wodoru z azotem. Łączenie się chemiczne pierwiastków jest więc sprawą bardzo tajemniczą, jak o tem się zaraz przekonamy z kilku dalszych przykładów.

Wt U.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Omimo usiłowań trudno było zmusić termometr do wykazania choćby cienia gorączki. Jańcio prosił o suchy kawałeczek chleba, kiedy nie można było dostać szynki i bułeczki z masłem, ale mu odmówiono z oburzeniem. Każde z dzieci gniołło potem krtań Jańcia po kolei a obolałe od gnienienia miejsce wistocie stało się bolesnem. Wreszcie zostawiono w spokoju biednego Benjaminka, który, wśród czarnych myśli o własnej, ciężkiej chorobie, usnął wreszcie. Starsze dzieci odbyły jeszcze szeptem walną naradę i wreszcie wszystko w domu ucichło.

Nazajutrz rano, zaraz po przebudzeniu się, Jańcio musiał znieść znowu dokładne mierzenie temperatury, przy którym opowiadał, że przez całą noc snił mu się obóz cygański, gdzie przebywał jako dziecko skradzione. Morzono go tam głodem niemiłosiernie i nie chiano mu dać kawałeczka suchego chleba, o który prosił. Najgorsza była stara cyganka. Wywróżyła mu z ręki, że już nigdy bułeczki z masłem i szynki jeść nie będzie.

Po śniadaniu, na które Jańcio dostał tylko filiżankę czystej herbaty i jeden sucharek, starsi chłopcy pojechali do miasteczka. Pan Chlewiatko ułożył wszystko tak, by i wilk był syty i koza cała. Lekcyę przeniósł na godziny poobiednie, przeznaczone na spacer, a chłopcom zalecił by z bryczki wcale nie zsiadali, a tylko poprosili doktora przez służącego, wiecznie przez okno wyglądającego, by do nich na chwilę wyjść zechciał.

Chłopcy pojechali tedy, a mieli miny tak poważne i tak namaszczone, że każdy, kto by był na nich spojrział, domyśliłby się, że jadą z jakąś misją niezmiernie ważną. Tak się szczęśliwie zdarzyło, że spotkali doktora, idą-

cego do chorego, a brodzącego po błocie w wielkich kałozach i stawiającego kroki olbrzymie widocznie w tym celu, żeby jaknajmniejsza ich liczba doprowadziła go szczęśliwie do portu. Był to człowiek wesoły, sam nie miał dzieci a bardzo je lubił.

— Dzień dobry, chłopcy! — zawołał, zatrzymując się w samym środku dużej kałuży, która zdobiła najbliższe miasteczko, Błociszew.

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykamy! My właśnie do pana doktora.

— Cóż tam słyhać z Jańciem?

— Nie dobrze. Gardło go boli...

— A gorączka?

— Niema żadnej gorączki.

— Skarży się na gardło?

— Przyznaje, że go boli. Przytem ma fałszywy głód.

— Fałszywy głód? Cóż to znaczy?

— Wczoraj kładąc się spać, zażądał szynki.

— Więc był poprostu głodny.

— Ale przy szkarlatynie...

— Więc on ma szkarlatynę?

— Nie, ale...

— Więc mu dajcie jeść i kwita.

— Wszystko może jeść?

— No, to co jada zwykle!

— Kiedy...

— Ból gardła może być poprostu kataralny. Lepiej by było, gdybym mógł zobaczyć Jańcia, ale w obec stanu pani Zabrzskiej.. Proszę mi tylko dać znać natychmiast, gdyby się zjawiała gorączka.

Chłopcy poczęli zawracać w błocie powoli, by nie obryzgać doktora, który zawołał za nimi:

— A pamiętajcie, że fałszywy głód najlepiej zaspakaja się prawdziwem jedzeniem!

Chłopcom przy powrocie było jakoś markotno. Jadąc do Błociszewa zdawało im się, że są posłami, na których barkach spoczywa wielka misja i wielka odpowiedzialność, teraz milczeli i czuli, że w ostatnim wykrzykniku doktora zawierał się żart, przy którego wspomnieniu miłość własna ich cierpiała.

Zastali Jańcia bawiącego się wesoło z Józwową, która chodząc na czworaku, okryta futrem od nóg, udawała niedźwiedzia i ryczała jak bawół. Jańcio był uszczęśliwiony i wtedy dopiero przypomniał sobie chorobę, gdy nieszczeniwa krtań jego znalazła się znowu pod palcami Zdzisia i Józia.

Po obiedzie, przy którym oczy starszych dzieci były ciągle zwrócone na Jańcia, panna Four wzięła na stronę profesora Chlewiatkę i od razu, bez żadnego przygotowania zrobiła mu scenę. Wymawiała mu brak spokoju i taktu.

— Bajki, które spisał Homer tysiąc lat temu — mówiła — wytworzyły w panu fałszywą imaginację, która świat i życie widzi w dziwnych kolorach. Pan wmawia dzieciom starszym, że Jańcio jest chory i wszyscy na niego patrzycie oczami kota, śledzącego ruchy nieszczęśliwej myszy, a nie widzi pan, że Alusia jest inna niż zwykle. Dziś przy lekcyi ze mną była śpiąca i jakby niezmiernie zmęczona; ciągle połykała coś, czego do ust wcale nie kładła; zapomniała dać jeść kanarkom, a gdym ją od lekcyi uwolniła, położyła się na sofie, utrzymując, że jej jest zimno. Pan wcale nie uważał, że przy obiedzie prawie nic nie jadła?

— Rzeczywiście, nie uważałem — odparł pan Chlewiatko tak pokornie, jak gdyby był małym chłopcem, słusznie wyłajającym.

— No, to trzeba uważać na to, co się wkoło nas dzieje, a nie wmawiać sobie i drugim tego, czego niema.

— Pani ma zupełną słusność.

— Ach, przecie raz pan mi słusność przyznał — zawołała z tryumfem Francuzka — pan doprawdy jest dobrym człowiekiem, i gdybym jeszcze potrafiła nakłonić pana do przebycia paru lat w Paryżu...

— Szkoda, że pani nie zna polskiego przysłowia...

Obraz Jana Matejki.



BITWA POD GRUNWALDEM.

— O owsie i o ryżu? Znam je! Przetłomaczono mi je! Otóż panby się stał ryżem z łatwością, tylko... tylko ten akcent!... akcent!

Biedna panna Four była poprostu tragiczna w swym ubolewaniu nad akcentem pana Chlewiatki.

— Czy ja doprawdy mam taki zły akcent? — zapytał wreszcie z wymówką.

— Ten człowiek jeszcze wątpi! — zawołała z rozpaczą Francuzka. — Akcent pana nie jest zły, ale jest okropny, denerwujący, drażniący, szkaradny, potworny, dziki...

— Łaski! Pani zabije we mnie nawet cień wszelkiej nadziei i bez nadziei trudnoby mi było żyć nawet w Paryżu!

— Możeby się jeszcze dało coś uczynić, gdybym ja panu do Paryża towarzyszyła.

— O nie, pani! — zawołał przerażony profesor. — Już muszę ze złym akcentem francuskim położyć się do trumny!

— Szkoda jednak, że człowiek tak uczony nie może zdobyć sobie tego, co jest jedynym na świecie, rzeczywistym..!

Pan Chlewiatko nie słuchał dalej. Zaniepokojony sprawozdaniem panny Four, poszedł szukać Alusi, którą znalazł zwiniętą w kłębek, w rogu kanapy, w pokoju dziecięcym. Alusia wyglądała jak chory ptak z napuszczonymi piórami.

— Co ci jest, moje dziecko?

— Nie wiem. Tak mi jakoś niedobrze... Zdaje mi się, że w gardle mam orzech włoski, którego przełknąć nie mogę...

Pan Chlewiatko poszedł po termometr do Zosi i wkrótce wszyscy ci, co zwykle składali konsylium przy Jańciu, zgromadzili się wkoło kanapy, w której róg wciskała się Alusia. Jedni po drugich badali puls, spoglądali na termometr... Rtęć podnosiła się w nim coraz wyżej, doszła do przedziałki oznaczającej temperaturę zwykłą ludzkiego ciała, postępowała powoli ku górze, aż wreszcie zatrzymała się na 39 ciu stopniach, Alusia miała gorączkę!

Otoczający ją spojrzeli na siebie z przestachem. Zdziś chciał natychmiast zabrać się do krtani Alusi i już palce zaokrąglił w kształt szczypców, gdy Alusia odepchnęła jego rękę i płakać zaczęła wedle swego zwyczaju. Nie posiadała ona męskiej wytrzymałości Jańcia.

Złożono naradę i postanowiono, że pan Chlewiatko pojedzie po doktora, że tego ostatniego uprzedzi o wszystkim i poprosi go, by się podjął uwiadomienia pani Zabrzezkiej, jeżeli stan Alusi nie pozwoli na ukrycie prawdy.

Zosia nie opuszczała Alusi, Zdziś i Józio chodzili po domu niespokojnie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, ani wymyślić zabawy, któraaby mogła ich rozzerwać.

— Czemu dzieci nie poszły na spacer? — zapytała matka, w której wyraz twarzy Zdzisia zrodził jakieś niespokojne podejrzenia.

— Bo, bo... bo dziś kolej na przechadzkę z profesorem a on musiał pojechać do Błociszewa...

— Po co?

— Miał tam interes...

— Jaki interes?

— Chciał... chciał się zobaczyć z doktorem.

— Czy on sam jest chory?

— Nie, to jest... on chciał...

— Ty jesteś chory! Ja widzę, żeś ty chory, Zdzisiu!

Pani Zabrzezka z przestachem przystąpiła do Zdzisia i położyła rękę na jego czole.

— Nie mamuleczko, ja się czuję zupełnie zdrow.

— Więc co się tu dzieje? Nie oszukujcie mię! Ja chcę wiedzieć prawdę, ja chcę wiedzieć całą prawdę! Ktore z was jest chore?

— Powiem prawdę! — rzekł Zdziś z odwagą — powiem prawdę! Alusia ma gorączkę i pan profesor pojechał po doktora.

Kamień spadł mu z serca po wyrzeczeniu tych słów, bo prawda ma to do siebie, że uspakaja, pociesza i daje zadowolenie, z którym żadne inne się nie równa.

I pani Zabrzezka doznała znacznej ulgi w swem biednem, zboleałem sercu.

(d. c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)



Niczyja to tylko Kasi Skowronczanki robota, zrzędził Grażela, pokazując Stefekowi pęk lian, który trzymał w ręku. Człowiek głowę psuje myślami, nie wiedząc, jak radzić biedzie a despetna dziewczyna wiąże zielskiem drogę. Muła przegonić do puszczy nie mogłem.

Ale posądzenie było niesłuszne. Wojciech, który rad wypatrywał, jakimi drogami Kasia chodzi, wiedział, że dziewczucha poszła z Marynką Opiełówną po wodę. Właśnie niosły pełny ceber na dragu — one także dziwiły się, kto zagroził im drogę do jeziora.

— Patrzcie, jaką płachtę zostawił na krzaku — wołała Kasia, podnosząc kawałek misternej plecionki, podobnej do tej, którą Suya nosiła w dzień spotkania z Stefanem. Kobiety rzuciły motyki i biegły oglądać szmatę. Nie widziały nigdy takiej, ani u siebie w kraju, ani tu w Brazylii.

— Co to znaczy? kto mógł podejść tak blisko osady, myślał Luty, a w tem rozległ się po polu przeraźliwy ryk muła.

— Jaguar! jaguar! krzyknęli koloniści. Ten i ów chwycił za siekiere i w mgnieniu oka trzech najzwinniejszych parobków dopadło lasu. Muł ryczał coraz chrapliwiej i żałośnie.

Gdzie on jest? chyba pod ziemią — wołał Wojciech, który biegł pierwszy.

Głos dobywał się z dołu wykopanego na ścieżce, chodzili tedy osadnicy po szyski araukaryi. Dół był pokryty gałęziami i mchem, przypominał pułapki na wilki. Tylko tu, na domiar okrucieństwa wbito w dół ostro zakończony pał. Muł wił się na nim w okropnych cierpieniach. Nie było czasu do stracenia, Wojciech Skiba wydobył zdychające zwierzę z pomocą dwóch parobków, którzy trzymali linę. Wypadek z mułem zrobił przynębiające na osadzie wrażenie. Koloniści pospuszczali głowy i patrzyli przerażeni w jamę. Było jasnem, że mógł wpaść do niej człowiek, a nawet kilku ludzi, że zrobiono umyślnie zasadzkę.

Stefanowi przypomniały się słowa Geralda:

— Gdziekolwiek postawicie nogę czyhać będą na was Indianie z strzałą, lub gorszym od strzały podstępem.

Zawsze więc walka na śmierć lub życie, walka z nieprzyjacielem, znającym doskonale miejscowość a zażartym, bo broni swej ziemi *).

— Co robić? — myślał Stefan i nagle stało mu się jasnem, że też sama istota, która ostrzegła go listem o niebezpieczeństwie, zagroziła dziś lianami ścieżki. Biedny pajączek Boży oprzął drogi, chcąc ustrzedz kolonistów od przebiccia się na pału.

— Dlaczego jednak zamknął przejście do jeziora? Błysnęła mu okropna myśl. Czerpano z tamtąd wodę dziś rano, a jeśli ta woda jest zatruta? Pobiegł do baraku, ale

*) Wszystkie szczegóły dotyczące Botokudów są zupełnie prawdziwe. Ostrzegają oni przez zamknięcie lianami dróg o nadciąganiu nieprzyjaciela, zatruwają wody i kopią pułapki.

nie zdołał zapobiedz nieszczęściu, na progu leżała jedna z najstarszych kobiet kolonii i wyla się w strasznych boleściach.

Stefan miał lekarstwo, dane mu przez O'Cleara. Rośliny trujące są bardzo rozpowszechnione w Brazylii, wieział o tem Jakób O'Clear i zaopatrzył apteczką kolonistów w przeciwdziaławcze środki.

— Wylać wszystką wodę, jaka jest w baraku. Janowa zachorowała, bo wodę zatruli Bugrowie — wołał ślusarczyk, przyrządzając lekarstwo drżącemi od wzruszenia rękami. Środek zadany w porę wywołał natychmiastowe polepszenie u chorej. Okryto Janowę ciepłemi derkami, pracować nie myślał już jednak nikt z kolonistów. Kto żył, biegł pytać pana Lutego, co sądzi o wypadkach dzisiejszego poranku.

— Bugrowie mszczą się na nas za to, że zabraliśmy im ziemię. Oni to spalili domy Irlandczyków, oni zatruli wodę w jezioru i pokopali doły na ścieżkach — powiedział Stefan, i nie ukrywając dłużej niebezpieczeństwa przed osadnikami, dodał — czeka nas wojna, dziś lub jutro mogą tu nadejść Bugrowie.

— Bugrowie, moiściewy, słyszyta bugrowie! — powtarzali mężczyźni kręcąc głowami.

Kobiety zaczęły lamentować, ta i owa uderzyła w płacz. Narzekania bab wyprowadziły Tomasza z cierpliwości.

— Cicho! — krzyknął — na desperacyą będzie czas, jak nas Bugry zjedzą, bo oni pono i to potrafią. My z panem Lutym jeszcze onegdany o wojnie wiedzieli, a nie robiliśwa gwałtu. A bo to nie mamy siekier, a bo to nas Matka Boska opuściła? Trzeba się kupy trzymać, od gromady nie odchodzić, a jak Bugry przyjdą, pokażemy, że i u nas jest moc w garści.

Słowa starego wiarusa zrobiły dobre wrażenie na wystraszonych kolonistach, kobiety nawet przestały płakać. Tylko Stefan nie zdawał się podzielać spokoju Tomasza. Powtórzył w obec osadników to, co mówił mu Gerald o niebezpieczeństwie walki z Indianami, i że mulat radził udać się do Kurytyby, gdzie ziomkowie pomogą im w otrzymaniu bez sporu gruntów, gdzie przytem jest ksiądz i kościół.

— Kościół, kościół! wołały kobiety, drżąc na myśl, że Janowa może umrzeć bez spowiedzi, że przyjdzie ją pochować w niepoświęconej ziemi.

— Dobrze by to było zwiedzić się ze swojakami, może daliby nam jaką radę, ale któż pójdzie teraz do lasu, kiedy Bugrowie wyroili się jak osy z gniazda? Na słuszną uwagę nikt nie znalazł odpowiedzi, jeden Stefan ofiarował się iść natychmiast. Zakrzyczeli go koloniści.

— Pan Luty nie powinien odchodzić od osady, on najprędzej będzie zaradzi, jakto zaraz wykalkulował, że woda w jezioru zatruta.

— Gdyby nie on byłaby Marcinowa na truciźnie warzyła śniadanie a tak i Janową zratuje — odpowiadały kobiety.

Kręcono głowami, nie znajdując rady. W tem wyszedł z gromady Wojciech Skiba i oświadczył, że jemu to iść do Kurytyby należy. On namawiał współziomków, aby za ocean jechali, on ciężko Boga obraził, bo się w Rio Janeiro ze złym człowiekiem zadawał i potem w desperacyi omal na własne nie targnął życie. On więc powinien ofiarować siebie za gromadę i jeśli tylko prawdą jest, co mówił mulat, to do Kurytyby trafi, ksiądz o radę uprosi i swoich bez pomocy nie zostawi.

— Tak mi Boże dopomóż — kończył Wojciech, bijąc się w piersi i uchylając kapelusza przed obrazkiem Matki Boskiej, który Tomasz zawiesił na sośnie.

Nikt nie odpowiedział Skibie, ale czuć było w tłumie, że wszyscy przytakują jego słowom. Już jeśli kto, to Wojciech mógł się wagować na taką rzecz, bo był obrotny i wymowny.

— Nie da się zjeść w kaszy — zapewniał Karol Wiecha, któremu Skiba solą był w oku za to, że Skowronczanka życzliwie na niego patrzyła.

Biedna Kasia! Dziewuchy skryły ją między siebie, żeby parobcy nie żartowali ze smutku narzeczonej. Kasia końcem fartucha lży obciera a przez ramię Opiełówny na Wojciecha spogląda i myśli z dumą, że jej narzeczony największy zuch w gromadzie.

— Ksiądz znajdzie, da na zapowiedzi — odpowiadała Kasi Marynka. Chichoczą się dziewczuchy, chociaż dopiero co zawodziły lamenty ze strachu przed Bugrami.

— Zwyczajnie młodzi — powiedziałby Tomasz — ale Tomasz milczy, rozważa ofiarę Wojciecha. Sumował, sumował, aż odchrząknawszy, jak doświadczonemu mówcy przystało, w te odezwał się słowa:

— Na wielką rzecz wagicie się kumie, z Bugrami żartów niema. Dziś zatruli wodę jutro, puszcza z dymem nasze domostwa. Zawzięli się przeciwko białemu narodowi i dziwoty w tem nie widzę. Bronią swojej ziemi.

— Nie daj swojego, nie pragnij cudzego, mówili starzy i mieli racyą. Po co nam krzywdą dobijać się chleba, kiedy my się nim zawdy dzielili z drugimi a nigdy go nikomu nie wydzielali. Idźcie Wojciechu z Bogiem w drogę, kiedyś się ofiarowali za swoje grzechy, a wracajcie kumie z pomocą.

Skończył i na znak, że nie chowa do Skiby urazy, bo Tomasz unikał go od zajścia w Izabelskim baraku, podał kumowi tabakierkę z wiśniowego drzewa. Wojciech wziął szczyptę tabaki, potem schylił się i pokornie, jak przystało młodemu, pocałował Tomasza w rękę. Ten dowód skruchy, który był zarazem hasłem pożegnania, wzruszył obecnych.

— Niech was Bóg prowadzi — wołała gromada. — Nawet Karol Wiecha rzucił dobre słowo rywalowi. Kobiety podniosły fartuchy do oczów. Tylko Skiba stał niewzruszony, widać mężne biło w nim serce. Spojrzał na Kasie, przerzucił przez ramię kobiałkę z żywnością, którą podała mu Marcinowa, wziął w rękę fuzyę i poszedł za Stefanem do kuźni. Tam na mapie miał kalkulować drogę.

Ślusarczyk zazdrościł mu wyprawy. Zostawał w Sixtenlots, nie wiedząc, jaką dać radę zagrożonej kolonii.

Wojciech dozna ciekawych przygód, zmierzy się z niebezpieczeństwem, dotrze do Kurytyby, będzie czytał gazety i usłyszy nowiny z kraju. Tak myślał Stefan patrząc za Skibą, który szedł śmiało w głąb puszczy. Działo się to zaś 30 kwietnia roku pańskiego 1869.

Rozdział XIX.

Nabożeństwo majowe. — Suya. — Bitwa. — Jeniec. — Tomasz w niebezpieczeństwie. — Pożar kuźni. — Stefan ratuje Leona. — Zniszczenie kolonii. — Suya się mści. — Flota Indyan. — Ucieczka. — Na łodzi. — Żeglarka. — Niebezpieczeństwo. — Wywrócone czółno. — Dwa kwiaty.

Przepowiednia Suyi nie sprawdziła się dotąd, chociaż słońce trzy razy weszło nad ziemią od czasu jak Stefan odebrał tajemnicze ostrzeżenie Indyjanki. Zatrute wody w jezioru i doły wykopane na ścieżkach przekonały kolonistów, że trzeba liczyć się z nieprzyjacielem, który może podość niepostrzeżenie osadę. Daremnie jednak Tomasz łamał głowę nad oszańcowaniem wykarczowanych pól. Trudno robić zasieki tam, gdzie niema żadnych dróg, gdzie nieprzyjaciół równie dobrze chodzi po ziemi, jak po drzewach. Zwrócono więc tylko baczną uwagę na baraki, strzegąc je od podpalenia, i zaufawszy opiece Bożej, czekano dalszej zaczepki.

Tymczasem myśl kolonistów goniła za Wojciechem Skibą. Kasia Skowronkówna pobałda od zmartwienia a niepokój dziewczyny dzieliła cała gromada.

Troskał się zwłaszcza Stefan, który najlepiej rozumiał ważność Wojciechowego poselstwa. Od powodzenia zależało może życie wszystkich osadników.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Ś. p. Władysław Skłodowski. Znowu ubył nam jeden z dawniejszych profesorów i pedagogów, którego uczniem był zapewne niejeden z ojców dzisiejszych czytelników „Wieczorów,” ś. p. Władysław Skłodowski, urodzony w Kielcach 1832 r. Był przez 35 lat profesorem fizyki i matematyki w wielu zakładach naukowych rządowych i prywatnych i przez pewien czas dyrektorem Osad rolnych w Studzieńcu, zyskując wszędzie uznanie, przywiązanie i wdzięczność swych uczniów i wychowawców. Pisał też wiele artykułów popularnych z dziedziny nauk przyrodniczych, zarówno dla młodzieży jak i dla starszych. Jedną z jego córek zamężną pani Curie, znana ze swych poważnych prac na polu chemii, jest profesorem fizyki w szkole normalnej w Sévres pod Paryżem.

Wnuk króla angielskiego, mały Edward, a przyszły kiedyś monarcha tego państwa, wychowany jest w niewiedomości godności, jaka go czeka. Niedawno, gdy mu czytano historię króla Karola I, który, jak wiadomo, zwyciężony w wojnie z parlamentem, został skazany na śmierć — zawołał:

— Ej, to jednak bardzo przykra rzecz być królem. Ja to chcę być doktorem!

SZARADA.

Łaskółka dla Sokoła.

*Pierwsza druga jest siłą wszechpotężną w świecie,
A jeśli chcecie,*

*Podwójną liczbę oznaczać też może,
Druga trzecia w kłopotie często dopomoże,
Gardzić nią nie należy, ilekroć jest szczerą,
To skarby zawiera.*

*Wszystka jedynie bogaczom przystoi,
Choć i uboższy czasem się w nią stroi,
Jeśli na drogę nierozsądku wkracza,
Udaje bogacza.*

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

ul. Pojata.

Prz. n.m mł.d. u..w.st., cz.m.ż k.d. mł.d.
T.k z.mgl.n.m pr.m..n.m św..e.c. j.j .r.d.?
N. j. .b..r .d.tn., n. j. str.j. kw..t.,
Cz.rn. .cz. sp.szcz.n. . żł.bn. sz.t.;
. w tw.rz. sm.t.k., czł. c. sch.l. w c.ch.śc.,
Ktr.g. cł.m bl.sk.m — śm..ch c..rpl.w.śc.,
L.b j.śl. k.d. n.gl. w p.śr.d g.st.ch c..ni
J.k. m.śl cz. p.m..tk. j.j l.c. zr.m.n.,
T. tk mł.m bl.d.m św..tł.m j.k gd. ks..ż.c w p.ln.,
N..zw.kł.m ż.c.m r.s. p.s.g. n.p.ln..

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28.

Arytmogryfu liczbowego:

		J		
	Z	a	n	
K	a	n	u	t
K	r	o	K	w
	S	t	a	n
	A	r	a	
	I	l	e	
B	K	u	C	y
	u	c	h	a
	K	r	o	w
		O	d	a
			k	
	N	i	l	
	Ś	l	e	d
K	r	a	w	i
	B	l	i	n
	A	c	h	
		Z		

Jan Karol Chodkiewicz.

GRY i ZABAWY

TOWARZYSKIE

w pokoju i na dworze
z przyrządami i bez przyrządów

200 GIER z 80 OBRAZKAMI

zebrała i ułożyła *Marya Weryho.*

Cena w oprawie 90 kop.

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie Nowy Świat Nr. 53.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Bitwa pod Grunwaldem (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Kto winien, wiersz przez Helenę Bojarską. — Dwie Anusie, przez Maryę Beldowską. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Z rozrywek letnich — Łamigłówni i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

15. Żółwie.

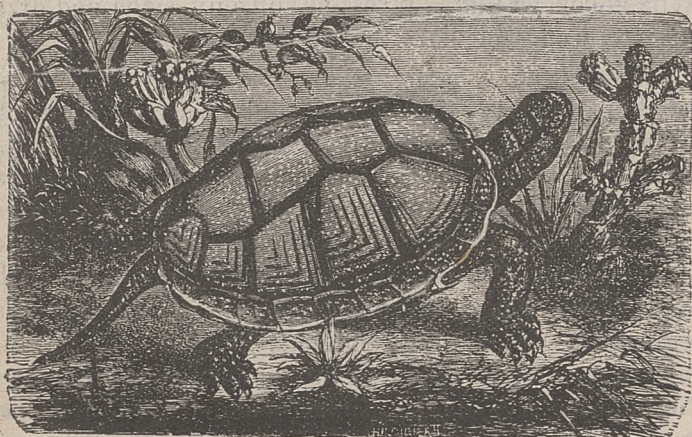
Wychoǳę teraz z domu bardzo wcześnie nad rów lub staw, robię poszukiwania do południa, a potem przychodzi dziadek; jemy śniadanie i idziemy gdzieś dalej. Razu jednego zaszliśmy aż do Wilanowa. Siedzimy nad wodą, aż słyszę przeraźliwy pisk.

— Co to jest, dziadku?

— Pewno to żółwie, tylko one mają taki głos donośny.

Wstaję i pocichutku zbliżam się do brzegu, widzę, żółw leży i wygrzewa się na słońcu. Zaledwie usłyszał szelest kroków naszych, natychmiast nogi i ogon schował pod pancerz. Tak siedział czas jakiś, potem wolno pełzając, poszedł do wody.

Teraz pokazał co umie: pędkiem zsunął się na dno i widać szedł po nim, grzebiąc nogami, bo okrutnie zamącił wodę.



Długo siedzieliśmy na brzegu, ale żółw już się nie pokazywał. Nareszcie widzimy, jak wysuwa łeb i dziurkami od nosa wciąga powietrze, potem znów zanurza się w wodę i zaczyna polować.

Widziałem, jak złapał przy brzegu żabę i dżdżownicę i jak je zjadał, trzymając się w wodzie. Taki bowiem ma zwyczaj, że choćby na lądzie pokarm znalazł, to musi spożyć go w wodzie, ażeby łatwiej połknąć.

Żółw daleko więcej przebywa w wodzie, niż na lądzie i tylko wieczorem, albo w dni bardzo gorące siedzi na brzegu.

Chciałem zabrać do domu takiego żółwia, ale nie udało mi się go złapać.

Dowiedziałem się później, że w maju żółwie składają jajka na lądzie, w piasku. Z nich wylęgają się małe żółwie, zupełnie podobne do rodziców, tylko ogon mają odmienny, znacznie dłuższy, niż u żółwi dorosłych.

W wodzie pozostają do jesieni, a następnie zagrzebują się w ziemi tak, jak ich rodzice i zasypiają do wiosny.

Chciałbym kiedy spróbować zupy żółwiowej, podobno jest bardzo smaczna.

Kto winien?

Ławsze czegoś szuka Frania

Ciągle jej coś ginie;

O! doprawdy, że bez tego

Żaden dzień nie minie.

— Gdzie mój kajet? O mój Boże!

Kto wziął książkę nową?

Wszystko co mam, co położę,

Ginie, daję słowo!

Dwa ołówki miałam przecie,

Już zginęły oba,

Guma poszła gdzieś na śmiecie,

To mi się podoba!...

Rękawiczka popielata,

Gdzieś się już podziiała...

Czy nie wzięła jej Agata?

— Pocóżbym brać miała?...

Książka pod komodą była,

Kajet pod doniczką,

Będzie tak, panienko miła,

I z tą rękawiczką.

Widzę... pod kaloszem leży,

Cała powalana. —

Frania po nią szybko bieży,

Bardzo rozgniewana.

— Taka ładna, prawie nowa

I co teraz zrobię?...

— Ha! panienka nic nie chowa,

Nie sprząta po sobie,

Jedno zleci, drugie spadnie

I źle potem bywa...

Tak; naprawdę to nieładnie. —

— O! ja nieszczęśliwa!

Straszny nieporządek w domu,
To cała przyczyna...
— Nie przyganiaj tu nikomu,
Bo to twoja wina!
Rzekła mama i surowo
Na Franię spojrzała.
— Wciąż ci ginie to i owo,
Boś sama niedbała,
Popraw-że się, moje dziecię,
I pamiętaj o tem,
Że porządek jest w kobiecie
Koniecznym przymiotem.

Helena Bojarska.

Dwie Anusie.

W dzień św. Anny pogoda była prześliczna, słońce świeciło nie przyćmione żadną chmurką, Anusia obudziła się z radością w duszy, bo dobrym dzieciom zawsze wesoło w dzień imienin, Anusia zaś czuła, że dobrem postępowaniem zasłużyła, aby rodzice o niej pamiętali. Nie zawiodła się, bo mama przygotowała jej ładną, jasną sukienkę, a zaraz po śniadaniu ojciec zawołał ją do ogrodu.

- Pokażę ci coś ładnego!
- Co takiego, tatusiu?
- Zobaczysz sama.
- Mój tatusiu, taka jestem ciekawa.

Lecz ojciec uśmiechnął się tylko i szedł dalej, nie odpowiadając. Ciekawość Anusi została jednak wprędę zaspokojoną, bo zaledwie skręcili w kasztanową aleję, ujrzała pomiędzy drzewami zawieszoną huśtawkę i z okrzykiem radości poskoczyła ku niej.

— O, mój tatusiu, co za prześliczna niespodzianka! będę się codzień huśtała, codzień, nieprawdaz?

— Jak chcesz moje dziecko, to zupełnie od ciebie zależy, ta huśtawka jest twoją własnością.

Uszczęśliwiona dziewczynka spróbowała zaraz huśtawki, która okazała się wyborną, po obiedzie pobiegła do niej znowu, bawiąc się doskonale, nie zauważyła wiejskiej dziewczynki, która stojąc opodal, przyglądała się jej z zachwytem. Była to znana jej dobrze sierotka, także Anusia.

— Jaką to panienka ma śliczną huśtawkę — rzekła nareszcie.

- Dostałam ją dzisiaj od tatusia na imieniny,
- To dzisiaj imieniny panienki?
- A tak, bo to dzisiaj dzień św. Anny, czy nie wiedziałś o tem?

— Nie, panienko.

— A przecież i tobie na imię Anusia. więc to i twoje imieniny.

Anusia sierotka posmutniała.

— Ej, kiedy to tylko panienki mają imieniny, a o mnie ktoby tam pomyślał.

Anusi żal się zrobiło sierotki, jak to smutno nie dostać na imieniny, a ona taka szczęśliwa, tak zawsze

oczekuje dnia św. Anny, trzeba koniecznie zrobić sierotce przyjemność.



— Chodź Anusiu, będziemy się razem bawiły, na św. Annę wszystkim Anusiom powinno być wesoło.

— Dziękuję panience — zawołała Anusia sierotka, wskazując na huśtawkę — dzisiaj będzie mi pewno wesoło.

Ale i naszej Anusi zabawa wydała się teraz weselszą i od-tąd obie Anusie używały wspólnie huśtawki.

Marya Beldowska.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Wtem z krzaku pokazuje się głowa dzikiej kozy — myśliwy ją spostrzega, składa się — paf, paf, paf, strzela i chybia! Pies okazuje niezadowolenie a koza radość, zręcznie obiegając scenę, staje tuż za myśliwym na tylnich łapkach, przedrzeźnia go. Myśliwy ma krótki wzrok, wyjmując potężne okulary, nakłada je na nos, a w tej chwili tuż przed nogami przebiega zając. Myśliwy chwytą broń, strzela w krzak, a zając jest już za nim, i tak jak koza, staje na łapkach i kręci głową ze zdziwienia! Takich niepowodzeń jest jeszcze kilka. To samo robi sarna i lis. Dik szuka zwierzyny pracowicie, a zwierzyna chodzi za nim. Wreszcie znużony, siada pod drzewem, by wypocząć, oczy mu się zamykają, usypia.

Tego tylko czekały zwierzęta. Wszystkie otaczają go wkoło, zabierają torbę z zapasami i zaczyna się uczta! Lis wypija coś z butelki, zajada bułkę, koza rzodkiewkę chrupie i kręci głową, że taka smaczna. Pies niby to pa-na pilnuje, lecz bojąc się, aby te dzikie zwierzęta nie uniosły jego własności, sam się w nie przystraja. Zawiesił sobie na szyi próżną torebkę, włożył okulary, mały zielony kapelusik, i tak sobą zajęty nie widzi, że do śpiącego zbliża się cichutko małpka. Podchodzi tuż, tuż, chwytą strzelbę leżącą na ziemi i ucieka z nią na drzewo! Tu, figlarka zaczyna się śmiać, celuje. Paf, paf, paf, strzela, a strzał nietylko budzi myśliwego, ale płoszy zwierzynę.

Rozbawiona publiczność głośno okazuje zadowolenie, klaszcząc w dłonie, śmiejąc się, a tymczasem zwierzęta uciekają i znikają w głębi lasu.

Pozostaje zawstydzony myśliwy i bardzo przestraszony jego pies. Obaj oglądają się na wszystkie strony, skąd strzał pochodzi, a małpka zadowolona, czując się bezpieczną, śle im ze swej wysokości pocałunki łapką. Lecz cóż się nagle dzieje, niezgrabny myśliwy jest doskonałym akrobatą. W jednej chwili, ze zręcznością kota, wdrapuje się na pień drzewa, z tego przerzuca się na drugie, goni uciekającą małpkę, wisi prawie w powietrzu,

chwytą ją i tu zaczyna się ciekawa walka na linie, rozciągniętej między drzewami. Dik sprytny, ale i małpie sprytu nie brak!

Publiczność wypatruje ciekawie jak to się skończy, kto kogo zwycięży?

Wtem na ziemię spada strzelba, pies chwytą ją, z pośpiechem nabija. — Paf, paf, paf! — Małpa widząc, że ma do czynienia z jakimś drugim ukrytym nieprzyjacielem, ucieka. Dik na ziemię zeskakuje, a pies ogromnie cieszy się z tego! Wkłada panu kapelusz, okulary na nos, przewiesza torbę przez plecy, a pan zadowolony, że tak szczęśliwie skończyła się walka, częstuje przyjaciela tabaczką; obaj razem potężnie kichają, kłaniają się, biorą pod ręce i wychodzą.

Przeciągłe brawo rozlega się, zadowolenie widać ogromne, śmiech, żarty, opowiadania wśród publiczności, a za sceną biedne zwierzęta zmęczone leżą, oddychając ciężko. Dik wsuwa się w najodleglejszy kącik budy, ścisłymi rękami silnie bijące pulsa w skroniach i skarży się towarzyszowi, mówiąc:

— Odwykłem już trochę od występów przed publicznością, bałem się ogromnie, aby mi się powiodło i dlatego czuję się bardzo znużonym i chorym.

— Ale to nic, przejdzie, przyzwyczaję się, byle tylko publiczność nie domagała się jutro, tego samego.

Lecz nie koniec na tem, afisz opiewa dużemi literami: „Część druga. Przejazd panny Nelly po zaczarowanym lesie.” Wszyscy ciekawi co to będzie, największą niecierpliwość okazują dzieci.

Jakoś opóźniają się aktorzy, widzowie zaczynają się niecierpliwić.

Naraz daje się słyszeć dzwonek, wszyscy zwracają oczy ku scenie.

Las płonie różnokolorowemi światłami, to cały czerwony jak w ogniu stoi, to znowu przechodzi w błąd niebieskie światło księżycy, to różowieją szczyty drzew, jakby od wschodzącej jutrzeńki. Ptactwo odzywać się zaczyna w krzakach, w koło kwitną fiołki, rosną czerwone jagody. Z głębi wysuwa się powoli złocisty wózek, zarzęzony w śnieżnej białości kozy, rogi i kopytka mają złoczone, uprząż ze wstążek. Na koźle siedzi małpka w czerwonym ubraniu i takież czapeczce, zręcznie podcina kozy bacikiem, a w wózku cóż to za śliczna dziewczynka siedzi!

Małe, różowe bobo, jak z wosku. Rączki i nóżki ma gołe, a takie śliczne. Jasne włosy spadają jej na ramiona, na główce ma wianek z białych róż. A oczy, cóż to za oczy! To dwa chabry, wielkie, prześliczne!

Lęk w nich jednak widoczny, jakaś trwoga ogromna, usteczka skrzywione w podkówkę! Patrzy w jedno tylko miejsce, jakby się bała, aby to, co się tam ukrywa, nie zniknęło jej nagle.

— Kto tam jest? Czemu panna Nelly nie raczy spojrzeć na publiczność? Czemu? bo panna Nelly, to małe, trzyletnie bobo, pierwszy raz występuje, bo tam za firanką ukrywa się przed publicznością śniada, drżąca Mira. Złożyła ręce na piersiach, daje znaki oczami małej, by siedziała spokojnie i błaga cicho, aby się broń Boże nie rozpłakała. Wózek przejeżdża wolno. Zadowolenie wśród widzów ogromne!

— Cóż to za cudownie piękne dziecko — wołają jedni.

— Nie, nie, to nie dziecko, to lalka z wosku.

— To manekin nakręcony.

— Cudowna, śliczna maleńka!

Nagle daje znaki rączką, że pragnie wysiąść. Wózek zatrzymuje się, panna Nelly wysiada i dąży zrywać kwiatki; małpka kozy podcina, wózek znika w głębi lasu! Dziecko chodzi po scenie. Na drzewie wiszą złote orzechy, panna Nelly chciałaby ich skosztować, ale za wysoko wiszą, nie dostanie! Podnosi rączkę. Wtem o dziwo. — Drzewo samo się zgina, zgina coraz bardziej, dziewczynka obrywa orzechy i kładzie do koszyka. Nagle zatrzymuje się. W krzakach słychać muzykę! Rozchylają się gałązki, wybiegają cztery małpki, otaczają Nelly, grając na piszczałce, organkach, trąbce i skrzypkach. Nelly częstuje je orzechami. Lec, cóż to się robi? Niknie światło purpurowe i niebieskie, las zaczyna zalegać ciemność. W oddali słychać szczerzenie psów, które wpadają na scenę z różnych stron!

I dzieje się rzecz zupełnie niespodziewana! Oto panna Nelly zamiast wskoczyć na grzbiet obłąskawionego barana, stać na miękkim jego grzbiecie i trzymając się złotych rogów, kłaniać się publiczności, przestraszona pada na ziemię, i głośnym wybucha płaczem.

Zwierzęta zrozumiawszy, że się nie udało przedstawienie, obawiając się batów, chyłkiem uciekają ze sceny, a natomiast wpada Mira, drżąca, błądą; klęka przed płaczącą maleńką i zaczyna uspakajać pieścizną. — Widzom udziela się rozrzewnienie! Żal im tego maleństwa. Rozumieją, że to nie ono powinno bawić sobą setki osób, ale oni dorośli, rozumni, winni je bawić, śpiewać, kołysać jeszcze i tulić, tak, jak to robi ta smagła, czarna dziewczyna! Więc wynagrodzić trzeba dziecku, przestrach, trud, znużenie — chwytą każdy, co kto ma i rzuca dziecku na scenę.

(d. c. n.)

Z ROZRYWEK LETNICH.

P i ł k a .

P i ł k a jest prawdziwym przyjacielem młodzieży i dzieci. Rozwija zręczność, siłę, a nie to wesołych chwil jej zawdzięczamy, ile to śmiechu, gwaru i bieganiny podczas gry w piłkę, ile zabawnych wypadków, kończących się siniakiem, a co najwyżej, guzem, który jednak nikt nie zniechęci do miłego towarzysza! Piłka jest też głównym narzędziem różnych najlepszych gier na świeżym powietrzu, jak ekstra, palant, lawn-tennis i t. d. Ale zabawa w piłkę wtedy jest ożywiona i prawdziwie zajmująca, gdy wszyscy uczestnicy są zręczni; jeden niezgrabny gracz psuje, a w każdym razie wstrzymuje grę w biegu. Dlatego też dajemy młodszym czytelnikom naszym przykłady ćwiczeń z piłką, za pomocą których nabiorą wprawę w obchodzeniu się z nią i z czasem będą mogli stać się zręcznymi graczami w ekstrę, palanta i tenisa.

Zaczynając od ćwiczeń najłatwiejszych, przejdziemy do trudniejszych, dzieląc je na klasy.

Klasa pierwsza. Rzucić piłkę do góry, pozwolić jej upaść na ziemię, a kiedy odskoczy, pochwycić ją *od dołu* całą dłonią, lub *z góry*, tylko palcami. Zacząć można od chwytania piłki obiema rękami, prędko przechodząc do chwytania jedną ręką. Ręka swobodna (naprzemian prawa lub lewa), zgięta w łokciu, założona być winna na plecach.

Klasa druga. Rzucić piłkę na ziemię, a kiedy odskoczy, pochwycić ją *od dołu*, całą dłonią, lub *z góry*, palcami. I to ćwiczenie wykonywać należy naprzemian, ręką prawą i lewą.

Klasa trzecia. Rzucić piłkę w górę i nie pozwalając jej spaść na ziemię, pochwycić z dołu, podkładając dłoń pod spadającą piłkę, lub z góry — palcami. Tu również ręka lewa — na plecach.

Klasa czwarta. Stanąwszy w odległości kilku, później kilkunastu kroków od ściany, rzucić piłkę skośnie do góry w kierunku ściany, a gdy odbije się, spadnie na ziemię i odskoczy, pochwycić ją, nasamprzód dwiema, potem jedną, prawą lub lewą ręką, trzymając swobodną rękę poza sobą. Siła rzutu powinna być tak obliczona, aby chwycić piłkę bez poruszania się z miejsca.

Klasa piąta. Rzuć piłkę, jak poprzednio, do ściany, ale chwytaj w powietrzu, nie pozwalając jej odbić się od ziemi.

(d n.)



ZAGADKI.

p. A. Z.

- 1) Wprost ptak — plyn wspak.
- 2) Wprost ryty, wspak szyty.

ZADANIE LITEROWE.

ul. Czarny Sęp.

c c e e e i i i i k l n o o o o s s s t t w y z z
Z rozrzuconych tych liter ułożyć dawne przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Szarady: Ko — per — ta.

Łamigłówki w trójkacie:

S a l o m o n
A l b e r t
L i l i a
O b r a
M o l
O j
N



Skrzynka do listów.

B... n. Powiastka do druku się nie nadaje, brak w niej treści i styl potrzebuje wiele poprawek.

P. Jadwidze Wańkow. zaginiony numer wysyłamy.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Wesoły Skowronek, Leonek G., Zosia W., Pilny Józio, Gimnazysta, Bławatek z nad Niemna, Kielczanin, Zgodne Rodzeństwo, Marylka i Różia Ł., Miecio G., Kapitan Grant na okręcie Brytania Elutka Mierzwińska.

Hajduczkowi z Wiru. Czyż mogłaś mnie posądzać, abym miała tak krótką pamięć i zapomniała o mojej korespondencie, dlatego tylko, że przez dłuższy czas nie pisała do mnie? Wiedząc Hajduczku, że jestem bardzo wyrozumiała, a kogo raz zapiszę mile w pamięci, nie tak łatwo da się stamtąd wykreślić. Trudno mi jest doradzić ci wybór tematu konkursowego, najlepiej zrobisz, kierując się własną chęcią i upodobaniem.

Witam cię Biała Mewo w gnieździe rodzinnem; po całozimowej wędrowce zawitałaś z powrotem i chcesz odczytać zaległe numera „Wieczorów,” wysyłamy je czempredzej, donosząc, że prenumerata na pierwszy kwartał wniesiona nie była.

Śliczną mi kartkę przysłałaś Halko z Teterowa, adres twój Łochowiance posłałam.

Bardzo chętnie zawieram z tobą znajomość Kozaczkowi i mam nadzieję, że gdy wrócę, zechcesz ze mną dłużej pogawędzić. Możesz napisać wypracowanie na dwa tematy, ale wymagane jest opracowanie tylko jednego z podanych tematów.

Wesołemu Skowronkowi. Na ostatni list nie otrzymałaś odpowiedzi dla tej prostej przyczyny, że list ten do mnie nie doszedł, musiał więc zaginąć. Żadnego powodu do gniewu na ciebie nie mam. Zapytujesz o jaką nową zabawę na dni deszczowe. Oj prawda, iż te deszcze strasznie się wszystkim dają we znaki. W obec nich trzeba się posilkować grami i zabawami zimowymi. Bardzo dobra jest gra *ping-pong*, jeśli się ma do niej odpowiednie przyrządy, to jest siatkę, małe rakiety i piłki, jest to tenis pokojowy, bardzo w użycie wchodzący. Z gier umysłowych przypominam ci „pięciominutkę” opisaną w N-rze 3-ym z tego roku. Termin konkursu na wypracowania 1 września, na roboty 1 października. Marylce i Januszowi nawzajem przesyłam pozdrowienia.

Łamigłówki Czesława i Wańdzi S., o ile tylko są dobrze ułożone, pomieszczone będą, ale muszę oczekiwać kolei. Psalm, *Kto się w opiekę*, napisał Jan Kochanowski.

Trajkotce, Ablusi i Białej Myszce za ładne kartki dziękuje i serdeczne pozdrowienia przesyłam.

Jak już w skrzynce zeszytygodniowej wspominałam, czas i mnie wyfrunąć w lasy i pola śladem mych skrzydlatych imienniczek, więc na przeciąg kilku tygodni pożegnać was muszę, zamawiając sobie zawczasu u każdej i każdego z kochanych korespondentek i korespondentów długi list za powrotem, z doniesieniem gdzie i jak spędziliście wakacje; będzie to dowód pamięci dla przyjaznej wam Jaskółki, a po miłym wypoczynku, z radością do odpowiedzi zasiądę. Wszelkie listy, polecenia, zapytania i t. d. adresować proszę do redakcyi, która na każde zapytanie chętnie odpowie, a polecenie załatwi.

Do widzenia w jesieni

Wasza Jaskółka.

Żarcik na zakończenie.

Przy lekcyi.

Mama. Widzisz więc Jasiu, że pszczołki służyć nam mogą za wzór pracowitości.

Jaś. Ale mają też zawsze tyle miodu, ile same zechcą.